Początek, kres i… nadzieja

Spektakl „W moim początku jest mój kres” powstał z okazji jubileuszu dwudziestolecia Lubelskiego Teatru Tańca, a jego premiera odbyła się 26 czerwca 2021 roku. Jak zadeklarowali twórcy, tancerze wraz z reżyserką, która współpracowała z lubelskim trio po raz pierwszy, po części jest on spojrzeniem wstecz i budowaniem opowieści ze skrawków przywoływanych i ożywianych wspomnień, po części zaś poszerzaniem tego pola i zuchwałą próbą doścignięcia czasu przyszłego, by poprzez własne ciało i umysł poprzyglądać się „wielkiemu pięknu starości”. Spektakl nie jest jednak zamknięty w ciasnych ramach indywidualnego czy nawet zbiorowego doświadczenia tancerzy z Lublina. Ta historia uniwersalizuje się, bo temat przemijania, rozwarstwiania i analizowania własnej przeszłości albo też chęć „podróżowania” i „zaglądania” w przyszłość dotyka, jeśli nie wszystkich, to wielu z nas. Przedstawienie to siłą rzeczy wpisuje się też w kontekst wojennej traumy i orędzia Polskiego Ośrodka Międzynarodowego Instytutu Teatralnego ITI, który jego autorki pisały dla teatru jawiącego się jako miejsce ocalenia dla świata i życia. Lubelskie przedstawienie zestrojone jest ze słowami Thomasa Stearnsa Eliota: *Rodzaj ludzki / Rzeczywistości nazbyt wiele znieść nie może.*

To właśnie cykl poetycki „Cztery kwartety” T.S. Eliota był inspiracją dla zbudowania struktury spektaklu. Poemat wydaje się być kluczem do zdefiniowania onirycznego otoczenia oraz poszukiwania znaczeń. W nieoczywisty sposób organizuje on przestrzeń gry i zostaje rozpisany na artystyczne taneczne trio. Jego fragmenty wyświetlane są podczas spektaklu na ścianach i podłodze, tworząc zarazem niezwykłą scenografię, jak i pole do interpretacji. To w słowach i pomiędzy słowami rozgrywa się opowieść zawieszona, jak chciał tego Eliot, gdzieś pomiędzy przeszłością, przyszłością a chwilą obecną.

Już pierwsza scena „W moim początku jest mój kres” daje to wrażenie przekształcania czasu w pętlę i bycia gdzieś pomiędzy. Po krótkim intro z nagraną wypowiedzią jednej z tancerek zaglądamy w głąb sceny, by ujrzeć sekwencję, która okaże się symulacją czasu przyszłego. Za białą, półprzezroczystą zasłoną widnieją gdzieś w tle trzy zbite w jedną bryłę postaci o zamaskowanych twarzach, które nie poruszając ustami, zaczynają śpiewać. Melodyczna fraza i głosy śpiewaków brzmią mocno i pewnie, a zatrzymany w kadrze obraz ich zastygłych w bezruchu ciał i przedziwnych, bezmimicznych twarzy wprowadza nastrój ceremonialny, a zarazem niepokojący. Gdy zasłona zostaje zerwana, obraz wyostrza się i dostrzegamy jasną przestrzeń, w której pojawiają się, w sensie dosłownym i metaforycznym, czytelne znaki. Odsyłają nas one do prywatnych historii występujących (Ryszard Kalinowski, Beata Mysiak, Anna Żak), które związane są ze sztuką, teatrem, tańcem i życiem w nieustającej mentalnej i fizycznej podróży. Jednocześnie po tym skondensowanym wokół wspomnień świecie dość niezdarnie poruszają się przyszłe wcielenia Anny, Beaty i Ryszarda, a towarzyszące im naprzemiennie lub symultanicznie wypowiadane i wyświetlane osobiste wyznania splatają się z poezją Eliota. Kiedy performerzy zaczynają pozbywać się zewnętrznej warstwy kostiumów i lateksowych masek, zrzucając wraz z nimi swą przyszłą skórę, niezgrabność i opieszałość, plany czasowe zaczynają się mieszać, a wraz z nimi predyspozycje ciał, stany umysłu, emocje.

„W moim początku jest mój kres” to inscenizacja, która zachwyca na wielu poziomach. Od wykreowanej wśród magii słów scenografii i stwarzających możliwość ucieleśniania przyszłości kostiumów, po kompozycje muzyczne Tomasza Krzyżanowskiego, które fantastycznie współrozbrzmiewają z głosami performerów i synchronizują się z rytmami ich działań. Odnajduję w niej również zupełnie nowe inkarnacje tancerzy, których znałam z wielu wcieleń wykreowanych na tanecznej scenie. Ruch, który był od zawsze dla lubelskich artystów podstawową formą komunikacji,

tu idealnie wręcz scala się z ideą metamorfozy umysłu i ciała, wzbogacony też zostaje o sceny wymagające od nich kunsztu aktorskiego i wokalnego. W tym udanym projekcie artystycznym dostrzegam autentyczną radość rodzącą się we współpracy „kruchych ciał". Choć tytułowa fraza może nieść w sobie potężny ładunek lęku, a cała opowieść o przemijaniu, starości i nieuchronności śmierci nabiera dramatycznej siły, to prowadzona jest też z czułością, nutką radości i wiarą w sens oczekiwania na upragnione chwile szczęścia.

Anna Banach